

W SZTUCE NIENAWIDZĘ POLIESTRU

Martyna Kliszewska



AKTORKA I MALARKA, W WYWIADZIE PREMIUM OPOWIADA NAM O TYM, JAK TO JEST BYĆ MALUJĄCĄ AKTORKĄ I WYSTĘPUJĄCĄ NA SCENIE MALARKĄ, ORAZ CZY SZTUKĘ DA SIĘ PODZIELIĆ I DLACZEGO ARTYSTA MUSI TWORZYĆ.

Rozmawia **Anna Kamińska**
Zdjęcia **XXXXXXXXXXXXXXXX**

Na swojej stronie internetowej deklaruje Pani: Nie dzielę na części tego, co robię: malarstwo, aktorstwo, rzeźba... Wszystko, co tworzę, jest formą, którą staram się zamieniać w sztukę. Jak udaje się Pani w tym odnaleźć?

Próbuję różnych sposobów wyrażania siebie: jestem aktorką, maluję, zajmuję się tkaniną artystyczną, projektowałam także lampy... Nie wiem, skąd we mnie taka różnorodność, ale na pewno potrzebę twórczej aktywności noszę w sobie od zawsze. Marina Abramović powiedziała, że artysta to człowiek, który budząc się rano, wie, że będzie

musiał coś stworzyć. To jego naturalna potrzeba. Absolutnie się z tym zgadzam. Wciąż odczuwam imperatyw, by twórczo eksplikować swoje emocje, wrażenia, przy okazji odkrywając nowe techniki i formy. To dodatkowa droga, której oddaję się z prawdziwą pasją.

Myślała Pani o tym, skąd się to wzięło?

Trudno mi powiedzieć. Mając kilka lat, wymyślałam ubrania swoim lalkom, kiedy skończyłam dziesięć, dostałam od rodziców prawdziwą maszynę do szycia. To był Łucznik kupiony w komunie na kartkę G, słynną na Śląsku przydziałową kartkę dla górników! Z czasem zaczęłam więc szyc dla siebie, a ponieważ w podstawówce co miesiąc była dyskoteka, ciągle wymyślałam nowe „kreacje”. Robiłam też broszki z modeliny, wisioriki, kolczyki. W pewnym momencie rodzice zrozumieli, że najlepszym wyborem dla mnie będzie liceum plastyczne. W ostatniej klasie szkoły podstawowej zaczęłam intensywnie przygotowywać się do egzaminów. Zdałam na wydział tkaniny artystycznej do bielskiego PLSP (Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych). Łucznik poszedł w odstawkę, za to ja rozpoczęłam naukę malarstwa, rysunku, rzeźby i oczywiście technik tkackich. Poczułam prawdziwy wiatr w żaglach no i spotkałam ludzi o podobnych zainteresowaniach.

Jednak po skończonym liceum plastycznym zdała pani do szkoły teatralnej? Skąd taka decyzja?

Po dyplomie, z tytułem „plastik technik desenator” w rękę, pojechałam do Nowego Jorku. Całkowicie sama, mając trochę dolarów w kieszeni i nie bardzo sprecyzowany pomysł na przyszłość. To była prawdziwa szkoła życia. Zaczęłam pracować, wynajęłam mieszkanie i po kilku miesiącach doszłam do wniosku, że jednak wracam i będę zdawać na wydział aktorski. A ponieważ jeszcze w Bielsku-Białej

uczęszczałam do grupy teatralnej, to nie była jakaś decyzja „z kosmosu”. Zawsze działałam dwutorowo i nie czułam w związku z tym żadnego rozdźwięku. Choć nauka w „plastyku” jest zajmująca i czasochłonna, to robiłam wszystko, żeby znaleźć czas na teatr. Kiedy dostałam się do PWST w Krakowie, w moim życiu rozpoczął się kompletnie nowy rozdział. I muszę przyznać, że był to okres pełen niesamowitych spotkań, odkrywania spektakli w krakowskim Starym Teatrze, w ogóle jakaś magiczna przygoda. Po szkole teatralnej pojechałam do Łodzi, do zespołu tworzonego przez Mikołaja Grabowskiego, u którego grałam w jednym z moich dyplomów. I choć pracowałam tam bardzo dużo, po jakimś czasie znowu zatęskniłam za malowaniem. Czułam, że powinnam wrócić do malarstwa.

I tak się stało?

Niezupełnie, bo zanim to nastąpiło, zajęłam się projektowaniem i wykonywaniem lamp, może nawet bardziej obiektów świetlnych, ponieważ te moje prace trochę wykraczały poza przyjęte schematy. Dopiero później wróciłam do malowania. Kiedyś, jeszcze w Łodzi, przyjaciółka zaprowadziła mnie do wróżki. Kobieta spojrzała na mnie i choć w ogóle nie wiedziała, kim jestem i czym się zajmuję, powiedziała mi:

Moje malowanie jest odpowiedzią na deficyt piękna i barw, jaki we mnie narastał w dzieciństwie.



Wie pani, z kart wynika, że musi pani malować. Tak, jakby odczytała moje podświadome tęsknoty. Wtedy uznałam to za dobry żart, no ale jak widać, coś w tym jednak było.

Na jakim etapie jest Pani dzisiaj?

Gdzie można Panią spotkać?

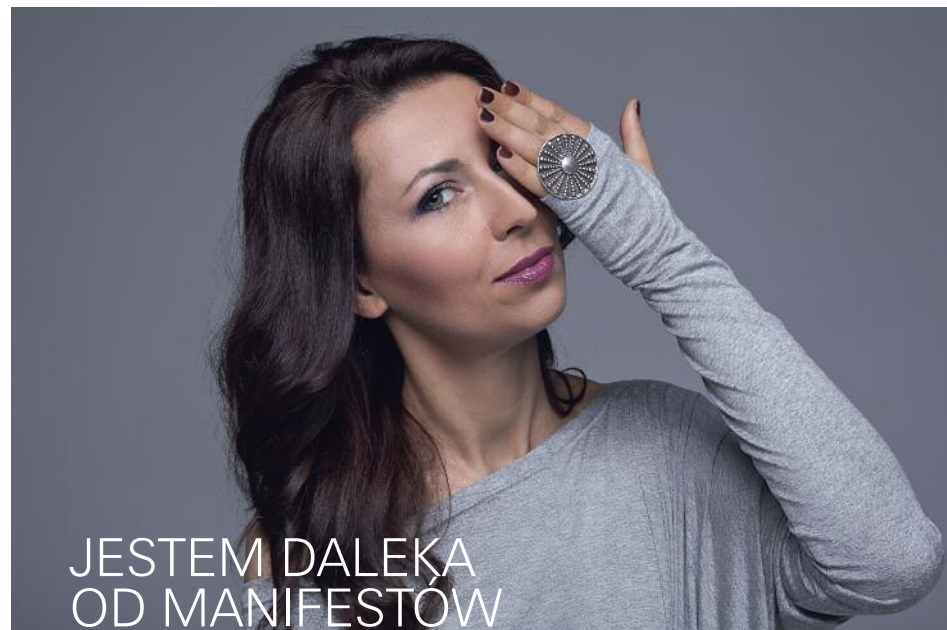
Wydaje mi się, że jestem w fazie nieustannych poszukiwań. To żywy i otwarty proces. Moja wystawa „Malarstwo, tkanina, asamblaż” w rybnickiej galerii sztuki w 2014 roku była zamknięciem pewnego etapu. Tegoroczne wystawy – „W głębi ogrodu” prezentowana również na Śląsku oraz najnowsza „Perpetuum Nature” w Galerii Kuratorium w Warszawie – to zupełnie inny rozdział. Na tej ostatniej wystawie pokazałam m.in. obraz z nowego cyklu „Wrzosowiska”, różny od tego, co malowałam dotychczas. To jest temat, który mnie teraz zajmuje i któremu oddaję się bez reszty. No i wciąż gram w teatrze. Obecnie w sztukach „Zazdrość” i „Hiszpańska Mucha” w warszawskim Teatrze Kamienica. I tam najczęściej można mnie zobaczyć.

Czy Pani aktorstwo i malarstwo pomagają sobie wzajemnie?

Na pewno się uzupełniają. To są dwie różne formy aktywności, ale obie wyrażone przez tę samą osobę, czyli mnie. Wrażliwość plastyczna pomaga mi wyobrazić sobie pełniej spektakl, również w aspekcie wizualnym – jako widowisko złożone nie tylko ze słów, lecz także z ruchu, scenografii, kostiumów. Myślę, że dzięki temu widzę przedstawienie bardziej całościowo i przemawia ono do mnie na kilku płaszczyznach. Z kolei w malarstwie przydaje się pewna konieczność formy, wewnętrznej dyscypliny, wyniesiona z teatru. Jednak staram się oddzielać te światy. Nie wiem, czy tak do końca mi się to udaje, ale próbuję. Mam jakieś wewnętrzne przekonanie, że dzięki temu jestem bardziej niezależna i samodzielna w tych dyscyplinach.

A czy aktorstwo wpływa na Pani sposób malowania?

W moich obrazach nie odwołuję się do teatru. To nie jest temat moich prac. Sądzę, że aktorstwo na pewno pomaga mi podczas wernisaży. I to chyba jedyny taki moment. Koledzy z branży malarzkiej podczas otwarcia swoich wystaw bardzo się tremują, przeżywają istne męki, występując publicznie. Ja na swoich wernisażach czuję się niezwykle komfortowo. Wszystko, co mogłam zrobić, już zrobiłam, i chwila obecna nie ma na to wpływu.



JESTEM DALEKA
OD MANIFESTÓW
I DEKLARACJI. PRZED
WSZYSTKIM CHCĘ
POZOSTAĆ WIERNĄ
SOBIE I UCZCIWĄ
WOBEC ODBIORCY.

To, czy jestem chora, czy boli mnie ząb, czy mam gorączkę, nie ma znaczenia. Dzieło mówi samo za siebie, a ja jestem mu już tak naprawdę niepotrzebna. W przeciwieństwie do spektakli teatralnych, gdzie mój stan, moje samopoczucie przekładają się na rolę. Poza tym bezpośrednia reakcja widzów ma również ogromne znaczenie. Ciało jest dla aktora środkiem wyrazu, i kiedy ten środek zawodzi czy niedomaga, to traci na tym dzieło. My kobiety mamy jeszcze gorzej. Są dni, kiedy boli nas brzuch, głowa, czujemy się jak wypchany balon – na wernisażu nie ma to żadnego znaczenia. Jeśli natomiast trafimy w takim dniu na premierę, to musimy stanąć niejako obok siebie – wykonać podwójny wysiłek.

Maluje Pani naturę, zwierzęta, kwiaty – wszystko nasycone zdecydowanymi kolorami, bardzo energetyczne, emocjonalne. Skąd taki wybór tematów i środków?

Pochodzę ze Śląska, gdzie się wychowałam. To region kojarzony z bezbarwnym, byle jakim krajobrazem, pełnym górniczych szybów. Miejsce, gdzie estetyka nie ma znaczenia. Ale to stereotyp. Dorastałam w szczególnym miejscu: z jednego okna widziałam las, z drugiego – kominy elektrowni

i szyb kopalni Emma. Moje malowanie jest odpowiedzią na deficyt piękna i barw, jaki we mnie narastał w dzieciństwie. Śląsk mnie inspiruje. Nie bez powodu jeden z moich obrazów – tętniące życiem i wibrujące kolorami drzewo – zatytułowałam „Mój Śląsk”. Bo to jest mój Śląsk – tak go widzę.

Poza tym jestem osobą bardzo emocjonalną i tak też wyrażam siebie. Kolor ma dla mnie znaczenie – powiedziałabym – podstawowe, terapeutyczne, jak słońce. To pierwszy, dla mnie konieczny, środek wyrazu. Jan Cybis, wspaniały polski malarz, zresztą pochodzący ze Śląska opolskiego, powiedział: *Broń Boże, ilustrować, opowiadać, tłumaczyć! Działać kolorem – to wszystko!* I ja to całkowicie rozumiem.

To rodzaj Pani artystycznego manifestu?

Jestem daleka od manifestów i deklaracji. Przede wszystkim chcę pozostać wierną sobie i uczciwą wobec odbiorcy. W malarstwie nie będę udawać kogoś innego, po tylko żeby się przypodobać publiczności, wpisać w konkretny nurt. Granie mam na co dzień w teatrze i to mi w zupełności wystarczy. Teatr jednak posługuje się innym językiem, chociaż i tam również liczy się szczerłość. Sztuka powinna płynąć z wnętrza i wyrażać artystę w jego indywidualny sposób. Nie można zastanawiać się, co jest modne, co na topie i jak to się sprzeda. Mamy różne gusta, różne estetyczne nawyki, naleciałości. Mimo to wierzę, że jeśli tylko jesteśmy uczciwi, to każdy obraz znajdzie swojego widza, a każdy widz znajdzie swój obraz, bo chodzi tu też o rodzaj uczciwości w odbiorze dzieła sztuki. To dosyć prosta zasada: działa, jak przyciąganie. Mówiąc inaczej, językiem krawieckim: nienawidzę w sztuce poliestru. Uwielbiam jedwab, surowce naturalne. Takie podejście wyniosłam także ze Śląska, gdzie liczy się konkret, uczciwość, słowność – po prostu kindersztuba.

Czy ma Pani jakiś mistrzów, artystów, którzy do Pani przemawiają?

Jest ich wielu. Nie umiem podać jednego nazwiska. To rodzaj takich krótszych albo dłuższych zauroczeń. Lubię obrazy Jana Szancenbacha, Artura Nachta-Samborskiego. Kiedyś szalałam na punkcie twórczości Salvadora Dali. Byłam nawet w jego otwartym domu-pracowni w Cadaques. Kiedy indziej tak bardzo chciałam zobaczyć obrazy Gustava Klimta, że pojechałam stopem do Wiednia. Sama! Miałam osiemnaście lat! Rodzice dowiedzieli się o tym pomyśle już po fakcie. Dziś nie działałam aż tak spontanicznie, ale nadal ulegam

takim fascynacjom. Na przykład od jakiegoś czasu jestem pod wrażeniem wystawy Billa Violi, artysty mało znanego w Polsce, którą udało mi się obejrzeć w Paryżu. Dużym przeżyciem była też dla mnie retrospektywna wystawa Jeffa Koonsa. Ciągłe staram się oglądać nowe dzieła, odkrywać nowych mistrzów, co nie znaczy, że jest to tylko krąg artystów współczesnych. Nazywam to takim swoim artystycznym pielgrzymowaniem.

Jak ważny dla malarza jest odbiór jego prac?

Na pewno jest istotny. Ale sądzę, że to jakiś końcowy moment i w samym założeniu nie najważniejszy. Mnie zawsze zachwyca akty twórczy. Moment zapamiętania, zatracenia i ogromnej uwagi. Wtedy nie myślę o tym, jak i kto będzie oglądał moje prace. Kiedy na wernisażu mojej ostatniej wystawy pojawił się Edward Dwurnik, pomyślałam, że pewnie nie będzie chciał ze mną rozmawiać o moich obrazach albo że je skrytykuje. Tymczasem było inaczej. Pochwalił mnie, powiedział kilka ważnych dla mnie rzeczy, co jest zachętą do dalszego malowania, niewątpliwym bodźcem do tego, by dalej się rozwijać. Z drugiej strony ważne są także inne głosy. Niedawno koleżanka, rozmawiając ze mną, powiedziała: *Wiesz, nie mogę zapomnieć o jednym z twoich obrazów, ciągle mam go w głowie, myślę o nim. Muszę go mieć!* Jak się okazuje, odbiorca jest bardzo ważny. W pewnym sensie uruchamia artystę, popycha go do pracy.

Wrażliwość plastyczna pomaga mi wyobrazić sobie pełniej spektakl, również w aspekcie wizualnym – jako widowisko złożone nie tylko ze słów, lecz także z ruchu, scenografii, kostiumów.

Ma Pani bardzo zróżnicowaną działalność artystyczną? W której dziedzinie widzi się Pani w przyszłości bardziej?

Na razie gram i maluję. Daje mi to ogromną radość i satysfakcję. Powoli przygotowuję się do kolejnej wystawy. Jak już mówiłam, pracuję teraz nad nowym cyklem. Odchodzę od figuracji na rzecz form abstrakcyjnych, choć nadal pozostanę wierna tematowi związanym z naturą.

W teatrze być może uda mi się zrealizować projekt, w którym bardziej niż dotychczas wykorzystam swoje malarstwo i aktorstwo. Teatr i malowanie pojawiają się w moim życiu w różnym natężeniu, ale staram się o żadnej z tych aktywności nigdy nie zapominać.